

13

ania z poezją roman-
tyczną rozbiła się w
ostatnich dwóch —
trzech latach nad
teatrami krakowski-
mi. (Dotyczy to zresz-
tą nie tylko Krako-
wa, tyle że on jest na
tym miejscu głównym przedmiotem
zainteresowania.) Mickiewicz, Słow-
acki, Wyspiański, a nawet Stanis-
ław Ignacy Witkiewicz — roztacza-
ją od pewnego czasu na scenach na-
szych niemal seriami przepychy
swojej rozgrzanej do białości wyob-
rzeni, funkcjonującej po osi pion-
owej, od góry do dołu, to znaczy
pomiędzy Niebem a Piekłem, w po-
szukiwaniu duchowego sensu egzy-
stencji. Zaliczyłem, jak widać, do
romantyków także Witkacego, gdyż
mimo zasadniczej odrębności języ-
ka (rozumianego tu jak najszerszej)
jest on z tej samej rodziny odmień-
ców, próbujących z opętaniem i de-
nerwującym już trochę uporem szu-
kać odpowiedzi na zagadki bytu na-
rodowego. To ci wspaniali mężczyźni
na swoich latających maszynach e-
gzaltacji.

I oto nareszcie na scenie krakow-
skiego teatru coś, jak zimny, orze-
wiający prysznic. Teatr im J. Słow-
ackiego wystawia „Sprawę Dantona”
Stanisławy Przybyszewskiej. Ta
słaba kobieta daje wspaniałym męż-
czyznom lekcję skromnej rzeczowo-
ści, logiki i precyzji intelektualnej.
Ruch myśli u Przybyszewskiej nie
odbywa się pionowo — od Piekła do
Nieba i z powrotem — ale poziomo,
na ziemi, wzdłuż jej twardego, pia-
skiego gruntu. Odetchniemy zapewne
uwolnieni z nacisku odlenionej
atmosfery romantycznego kosmosu.
Co prawda, atmosfera ziemską po-
siada swoje własne uciski, zatruta
wszelkiego rodzaju wylęgami i nie-
czystościami (mimo rozmaitych wy-
silków ochrony środowiska) — ale
jakby nie było jesteśmy wreszcie u
siebie, tutaj i teraz. Na własnych
śmieciach. Ta kobieta porządkuje
rzeczywistość no gospodarsku, z do-
kładnym wylizaniem inwentarza.

Sam tytuł dramatu jest charakte-
rystyczny. Tak w aktach sądowych
określa się przepadki procesowe. ha-
dące przedmiotem rozpraw. „Spra-
wa Dantona” — protokolarny niemal
zapis faktów i wydarzeń, których su-
che zestawienie ma dać właściwą oc-
nę konkretnego problemu. Wyob-
raźmy sobie tę schorowaną, zatrutą
morfina, zziębniętą i głodną dwu-
dziestokilkuletnią zaledwie, ale
przedwcześnie postarzałą kobietę —
jak w 1925 roku w nędznym baraku
na terenie szkoły w Gdańsku, pro-
wadzi niezmordowanie swoje
własne, prywatne śledztwo w celu

rozwiązania zagadki wielkiej rewol-
ucji francuskiej. Ta rewolucja była
jej obsesją. Przybyszewska zbierała
materiały, wertowała dokumenty,
przesłuchiwała w półmroku niez-
jących już od stukilkudziesięciu lat
świadków — aby rozszyfrować me-
chanizm zdarzeń. Zapewne w narko-
tycznym oszołomieniu ukazywały się
jej zjawy autentycznych, skazanych
na śmierć postaci z tamtych dni. Ale
ich zeznań czy innych elementów
śledztwa nie zniekształcała nigdy
pobudliwość chorej wyobraźni. Pre-
cjuśnie, wszystko było rejestrowane
z pedantyczną ścisłością, analizowa-
ne z precyzją racjonalistyczną. Tak po-
wstawał gatunek literatury, który
dopiero dziś jesteśmy w stanie oce-
nić w sposób należyty.

Bo na skutek takiej — można by
rzec: laboratoryjnej — procedury,
przedstawiane zjawiska tracą cechy
maskaradowej, tylko kostiumowej
Historii, przestają być ciągiem ży-
wych obrazów z przeszłości, które
najwyżej oceniane są wtedy, kiedy
najdoskonalej odzwierciedlają — lub u-
dają, że odzwierciedlają — tzw. styl
epoki. Tutaj nic z tego. Przybyszew-
ska nie jest malarką, choć była cór-
ką malarki. Przybyszewska nie jest
wizjonerką, choć była córką tego,

który tak intensywnie chciał zasze-
rować literaturze polskiej sataniczne
wizjonerstwo. Przybyszewska jest
do pewnego stopnia reporterką. Daje
opis charakterów działaczy 1794 ro-
ku i ich zachowania się w konkre-
tnych sytuacjach politycznych.

I nagle okazuje się, że zachowanie
to jest nam dziwnie znajome. Jak
zawiązuje się sojusze, jak podejmu-
je decyzje, jak sprawuje władzę, jak
likwiduje niewygodnych przeciwni-

cy, przetrzymany jak gąbki czło-
wiekowi instynkt i pragnienie natu-
ralnej swobody, przerażającej się
niekiedy w swawolę, ale urzekającej.
Robespierre — to próba ujęcia ży-
wiolowego, anarchicznego strumienia
emocji w ramy doktryny, to wysiłek
mózgowego zapanowania nad chaos-
em świata poprzez żelazną dyscy-
plinę rygorów. Z tego, co było po-
wiedzialne poprzednio niestrudno
odgadnąć za kim opowiada się au-

Henryk Vogler

Przed premierą „Sprawy Dantona”

orka. Jest entuzjastyczną wielbiciel-
ka Robespierre'a. Ale przenikliwość i
rzetelność badawcza zmuszają ją —
może nawet nieświadomie — do o-
biektywizmu. Jej Danton nie wydaje
się pozbawiony ludzkiego ciepła, a
Robespierre dogmatycznej bezwzględ-
ności.

Ci, którzy znają tragiczne dzieje
Stanisławy Przybyszewskiej zdola-
ją może pod tą główną warstwą do-
strzec jeszcze jeden — kto wie, czy
samej autorce uświadomiony — wą-
tek Czy zawarty w dramacie kon-
flikt Danton—Robespierre nie jest
w jakiejś mierze transpozycją sto-
sunku ojciec—matka? Stanisław
Przybyszewski — wcielenie (nieco
kabotyńskie zresztą) woli życia i wo-
li władzy, głosiciel prawa do wol-
ności dla wielkiej indywidualności,
łamiącej krepujące ją więzy spo-
łecznych i obyczajowych konwencji.
I Aniela Pałkówna, twarda i sta-
nowcza, rygorystycznie podporządko-
wana wybranemu przez siebie pra-
wu moralnemu. Może po trochu tak-
że między nimi obajgiem toczy się
dialog, zakamuflowany w ten właśnie
sposób w scenach dramatu ich córki?
Mała Stasia początkowo bawo-
chwalczo adorowała ojca, wychowa-
na w kultcie dla niego, jako dla wiel-

Podstawowy konflikt „Sprawy
Dantona” to spór pomiędzy Dan-
tonem a Robespierre'm. Mimo
wykorzystania bogatej dokumenta-
cji, dotyczącej obu tych postaci, nie
jest to tylko spór dwu osób, kie-
rujących wówczas historycznymi
wydarzeniami. Uchwycony tu zostaje
proces wielkiej dialektycznej sprze-
czności zasadniczych sił antagonisty-
cznych, działających w ludzkiej na-
turze i jej społecznej emanacji. Dan-
ton — to biologiczna wola życia i

kiego pisarza. Później, gdy poznała
smutną prawdę o twórcy i człowie-
ku, adoracja zamieniła się w nie-
chęć, żeby nie rzec: nienawiść, a ca-
łe uwielbienie przeniosło się na mat-
kę. Ta sytuacja zdaje się odzwiercie-
dlać w sztuce. Ledwo dostrzeżalny
ślad sympatii dla Dantona jest może
echem dawnej hierarchii uczuć?

Zapewne, tego rodzaju hipotezy są
ryzykowne. Ale narzucają się dość
natrętnie, skoro pod precyzyjną
strukturą matematycznego niemal
rozumowania pisarskiego — wyczu-
wa się gorące tchnienie namiętne-
go, osobistego zaangażowania. Nie
tylko romantycy zdolni są do unie-
sienia. I podobnie, trudno oprzeć się
wrażeniu, że w stosunku Dantona
do zgwałconej, tyranizowanej, ale i
kochanej Luizy kryje się jakieś
dalekie odbicie stosunku Stanisława
Przybyszewskiego do córki, a przy-
najmniej wyobrażeń pisarki o tym.

Wszystkie te obserwacje umożli-
wia w szczególności opracowanie
tekstu, dokonane przez Jerzego Kra-
sowskiego. Należy pamiętać, że dra-
mat Przybyszewskiej — grany przed
wojną tylko dwukrotnie: we Luo-
wie (1931) i w Warszawie (1933), bez
powodzenia — w oryginalnej wersji
rozrosły jest dość hybrydycznie,
choćby przez bogactwo zebranego
materiału. Krasowski w sposób ce-
lowy, oszczędny, ekonomiczny zor-
ganizował z tego nowoczesną jako-
sceniczną: protokół ważnej dyskusji
politycznej, dokument zupełnie
współczesnego rozumienia dziejącej
się na naszych oczach historii, rap-
tularz przelomowych wydarzeń,
przejmujący o wiele silniej niż naj-
bardziej uskrzydłone fantazje ro-
manticzne, właśnie swoim brutal-
nym autentyzmem. Nareszcie jeste-
śmy na ziemi. Nic dziwnego, że
„Sprawa Dantona” wystawiona przez
Krasowskiego w 1967 roku w Tea-
trze Polskim we Wrocławiu odnio-
sła duży sukces. Dziś autor opraco-
wania dokonał dalszych zabiegów
adaptacyjnych i tak oto premiera
„Sprawy Dantona” w lutym 1975 w
Teatrze im. Słowackiego w reżyse-
rii Jerzego Krasowskiego — jest no-
wym etapem w odkrywaniu prawie
nieznanego fenomenu naszej litera-
tury: Stanisławy Przybyszewskiej.